



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



SZACH PERSKI.

W zeszłym miesiącu, gościł w Warszawie przez dni kilkanaście, w przejeździe z Petersburga do Berlina, Szach perski Nasr-ed-Din. Otaczały go nieustannie ciekawe tłu-

my widzów, gromadzących się na ulicach miasta przez które przejeżdżał, oraz w odwiedzanych przez niego miejscach publicznych. Nasr-ed-Din po raz trzeci już zwiedza Europę, chcąc zapoznać kraj swój ze zdobyczami jęj cywilizacji, w Warszawie też był już przed jedynastu laty.

Minęły bezpowrotnie czasy starożytnęj sławy i wielkości Persyi. Jest to dzisiaj niewielki kraik, liczący co najwyżej pięćdziesiąt kilka tysięcy wojska a około siedmiu milionów mieszkańców, otoczony zewsząd górami tamującymi do niego przystęp, i pozbawiony wewnątrz wszelkięj komunikacyi, co niezmiernie utrudnia handel. Nasr-ed-Din zamierza zaprowadzić koleje żelazne i tem podniesie niewątpliwie dobrobyt poddanych swoich. Wraz z etoczeniem swem zwiedzając miasto i jego okolice, liczne czynił zakupy, przemysłowcy nasi zawiązali przeto stosunki z Persyą, i zamierzają tam wysyłać towary, mając sobie zapewnione wszelkie po temu udogodnienia. Nasr-ed-Din urodzony w 1831 roku pochodzi z dynastyi Kadjarów, ma liczne potomstwo, wpośród którego pierwsze miejsce zajmuje następca tronu Muzuppir-ed-Din, liczący już lat przeszło trzydzieści. Rysunek nasz przedstawia Szacha w galowym ubiorze zasutym brylantami, których wartość, wedle doniesień naszych dzienników, oszacowana jest na dziesięć milionów rubli.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Niewolnica sama z podziwieniem spojrzała na swoje biedne ręce, i rzekła:

— A widzisz? Niechciałeś wierzyć, Bóg mię sam uniewinnia.

Potem, uśmiechnęła się ze słodyczą cichego zwycięstwa, potoczyła wzrokiem dokoła, jakby pytając czy jęj nic nie zatrzymają, postąpiła naprzód kilka kroków, a wszyscy się przed nią rozsunęli, im dalej szła, tem dalej otwierano przed nią, pustą, szeroką drogę; wyszła z namiotu tryumfalnie, i przez pole świecące od rosy poszła jakby cień. Przez jakiś czas, Elżbieta szła szybko, podtrzymywana wrażeniami postrachu i tryumfu. Ale kiedy obóz Kałgi zniknął pośród pagórków, kiedy się przeświadczyła że nikt jęj nie goni, siadła, bijącemi piersiami chwytając powietrze, i złożywszy ręce wyszepnęła:

— Boże! Bądź pochwalony! Wysłuchałeś mię!

Dążąc do siedliska Ludmiły, kierowała się według kształtu gór, biegnących ciągle brzegiem widnokregu, a których zarys mocno utkwiał w jęj pamięci.

Przed południem spostrzegła nakoniec namiot, trzódki wybiegły z radością na jęj spotkanie, ale według swoich przewidywań, Ludmiły w namiocie nie znalazła.

Zaczęła, po wczorajszemu iść w górę za korytkiem strumienia, który dziś, na wielki swój podziw, ujrzała pełnym i aż bulgocącym od wody. Podczas nocy deszcz upadł w górach, źródło wezbrało i prąd ożył.

Już doszła do miejsca gdzie wczoraj wieczór się rozstały, — i tu niema Ludki.

Dopiero dalej, o jakie dwie staje wyżej, znalazła ją omdlałą i nieprzytomną.

Co prędzej, pełnemi rękami czerpnąwszy bieżącej wody, zaczęła oblewać jęj skronie i zwilżać spieczone usta.

Pod wrażeniem błęgiego chłodu, Ludmiła rozwarła oczy, w pół siadła i rzekła.

— Ach jesteś! Przyniosłaś nakoniec tę wodę? Jak to dobrze... Powiedz mi...

— Później, później... — przerwała Elżbieta — najprzód napijmy się do woli.

I ciągnęła ją pod srebrny prątek. Obie, położywszy się na brzegu, piły chciwie prosto ze strumienia.

— A! nakoniec! — rzekła oddychając Ludmiła. — Ja myślałam że już się tęj wody nigdy nie doczekam. Ale zkądże ona tu płynie? Co to jest? Już dzień? Już południe?

— Ach!... — wykrzyknęła, przesuając ręce po czole. — Przecież ja na ciebie całą noc czekałam? Nawoływałam cię, chodziłam tu i owdzie, no, marłam z niespokojności!... Potem... tak, przypominam sobie... zaćmiło mi się w oczach... i już nic nie wiem dalej. Powiedz mi, co się z tobą działo?

Elżbieta opowiedziała jęj swoje porwanie, noc przebyta u Kałgi, zagrożenie mękami.

— Ale, zakończyła, Bóg mię wyprowadził nietkniętą, i już nikt mię nie będzie ścigał nigdy!

— Dlaczego? Jakże ty ztamtąd wyszłaś?

— Patrz: i mój anioł Boży dotknął nakoniec ową różgą. Tu, pokazując jęj swoje ręce, uśmiechała się nadziemską radością. Ludmiła na widok ten i słowa Elżbiety wpadła w rozpacz straszliwą, przypisując sobie nieszczęście przyjaciółki i bolejąc nad jęj losem więcej jak nad własnym; ukoili ją dopiero rozumne i łagodne przedstawienia Elżbiety.

— O jeżeli te cierpienia mają nam oszczędzić bólu Czyścica — rzekła w końcu — jeżeli nam mają przysporzyć chwałę niebieskięj, to niech będą błogosławione."

Odtąd mówi autorka „przyjaźń ich doszła swojego szczytu, i pozostała już na nim aż do końca ich ziemskiej

pielgrzymki. Bo dotąd, mimo równęj gorącości uczuć, był między niemi poniewolny brak równowagi w czynach; za wiele poświęceń padło po stronie Ludmiły, aby Elżbieta mogła je znosić bez ciężkiej trwogi serca; truchlała na myśl, czem i kiedy odplaci tyle ofiarności.

Teraz, kiedy szale się wyrównały, zapanował między niemi wielki pogodny spokój, jak między dwoma bohaterami, co zmierzili swoje siły, i znaleźli się godnemi siebie.

A przytem, od tęj chwili, jedna dla drugiej była już wzajemnie całym światem.

Reszta świata, który je wyklął i odepchnął przestała już dla nich istnieć.

Niemogąc pozostać dłużej na pustyni trawione żądzą powrotu do ojczyzny, zaczęły się wybierać w drogę, ale wkrótce przekonały się, że brak sił które im odjęła straszna choroba, nie dozwoli im iść dalej, a tem więcej zabrać z sobą rzeczy i trzody które do użytku żony pozostawił Ajdar.

Gdy się naradzały co począć? naciągnęła garstka nieszczęśliwych różnych narodowości, podobnie jak one dotkniętych trędem, którzy oddzieleni od reszty świata, pędzić musieli życie samotne kocując tu i owdzie. Były pomiędzy nimi kobiety, a nawet jeden starzec chrześcijanin, branki więc przyłączyły się do nich, ofiarując im do podziału swe dostatki i razem wyruszyły dalej, ciągnąc zawsze na zachód.

I znów w pielgrzymce tęj upłynęły lata ciężkiej niedoli po których chore niewiasty, odłączone już od towarzyszy którzy rozszarpali ich mienie, głodne, odarte i złamane cierpieniem, choć nie upadające na duchu, znalazły się pod murami Jerycha, słynnego biblijnego miasta.

Wśród skwarne go piasku pustyni Elżbieta podniosła tu jakąś roślinkę zeschniętą, zwiniętą w kłębuszek i poznała w nięj z radością „jerychońską różę" taką samą jak ta którą została w Zegnańcu. Zachowała ją rozrzewniona jako pomyślną na przyszłość wróżbę, jakoż wkrótce rozjaśniła się nieco posępna ich dola, spotkały bowiem dwóch rycerzy z zakonu św. Łazarza.

— Uciekajcie, nie zbliżajcie się do nas—wołały ujrawszy ich z dala — czy nie widzicie co my za jedne?

Ale starszy z rycerzy uśmiechnął się tylko na te słowa dobrotliwie.

— „Naprawdę to wszystko — mówił — nie odpędzicie nas. My właśnie mamy zaszczyt wojowania pod chorągwią świętego Łazarza. Należymy do zakonu Braci Szpitalnych. Naszem ślubowanem zajęciem, jest obrona i pielęgnowanie pielgrzymów chorych, a zwłaszcza trędowatych, jacy tu przybywają dla zwiedzenia miejsc świętych. Radujemy się więc i dziękujemy Opatrzności, że sprowadziła was na naszą drogę, szanowne pielgrzymki, wielce miłe zapewne Chrystusowi, kiedy was obsypał chwałą św. Joba. Pozwólcie, abyśmy odtąd służyli wam za przewodników, i spełniali co rozkażecie, bo każdy chory i ubogi, to nasz pan, a my jego pokorne sługi.

Niewiasty spojrzały po sobie. Wzruszenie głosu im zatamowało, tylko łyby grube puściły się z ich oczu. Pierwszy to raz od lat wielu, zdrowi ludzie przystępowali do nich bez przestachu, a nawet z uśmiechem! Przemawiali do nich pierwsi, i to nietylko z łaskawością, ale z pokorą, ze czcią dla ich cierpień!

Milczały pomieszane tą dobrocią a następnie odpowiadając na zapytania rycerzy, poznały ich ze smutnemi dziejami swego życia. Opowiadanie to obudziło w sercach rycerzy wielką litość, powiedzieli im, że są w miejscu zkąd właśnie mogą się dostać do Europy, bo jerychoński zakon św. Łazarza wyprawia od czasu do czasu okręt odwozący tam trędowatych, dla których chrześcijańskie miłosierdzie we wszystkich znaczniejszych miastach i innych miejscowościach obmyśliło domy przytułku. Tymczasem, dodali, znajdziecie w Jerycho lazaret, w nim odzież, lekarstwa, i zacne niewiasty do posługi.

Wyrzekszy to siedli z koni aby na nich umieścić schorzałe niewiasty. Ludmiła wsiadła na wierzchowca przypo-

miałszy sobie dawne czasy, ale biedna Elżbieta nie mogła się dźwignąć.

Starszy rycerz chciał jęj w tem dopomódz.

— Jakto nie boicie się mnie dotykać — rzekła przestraszona, on odchylił tylko rękawy i pokazał na ręku plamy zeschłe i świecące.

— Ja — rzekł — trochę byłem wam bratem w cierpieniu. A już co nasz Mistrz, to jeszcze lepszy. Według ustawy, Mistrz naszego Zakonu musi koniecznie być „trędowaty” ażeby lepiej czuł i rozumiał męczarnie tych którym służy. Co mówiąc, uniósł i posadził na koniu Elżbietę. Siedząca obejrzała się ku Ludmiłi.

— Cóż to za cudowny zakon! — rzekła — czy pamiętasz jak nam królowa o nim opowiadała? Nie spodziewałyśmy się wówczas, że kiedyś przyjdzie nam go błogosławić!

— Królowa? — powtórzył niedowierzająco młody rycerz, mierząc spojrzeniem wiszące na nich łachmany.

— Wy? Znalyscie jaką królowę?

— A jakże? — Odrzekła z odrobinką dumy Ludmiła. — Musieliście chyba i wy słyszeć o sławnéj księżnie polskiej, Kunegundzie, córce króla węgierskiego Andrzeja? Ona to nas łaskawie przyjmowała u swojego dworu, gdzie było tak pięknie i świątobliwie jakby w raju.

— Mój Boże! — westchnął rycerz — dawniej znały się z królami, a teraz?...

— A teraz — odparł stary towarzysz — są za to bliższe królestwa niebieskiego.

Tu rycerze ujęli cugle, poprowadzili konie, które szły ostrożnie, nawykłe do dźwigania chorych, i pojechały niewiasty, unosząc różę i nadzieje.

Po kilku latach które upłynęły od owéj chwili, Elżbieta i Ludmiła znalazły się w Europie. Było to w czasach gdy nieszczęśliwi dotknięci trędem mieli wśród społeczeństw chrześcijańskich najtkliwszą opiekę. Kościół otaczał ich samotność tysiącem duchownych pociech, publiczność ją otaczała krociami doczesnych osłodeń.

Słowem rzesza trędowatych stała się w rodzinie chrześcijańskiej owem dzieckiem kaleką, co właśnie w przyczynę swojego kalectwa, jest najbardziej kochanem przez rodziców, najbardziej psutem przez rodzeństwo. Dla nich najrzewniejsze ustępy Liturgii, dla nich najgorętsze współczucie narodów, dla nich najwspanialsza opieka monarchów, dla nich najszaleńsze poświęcenia Zakonów, dla nich najczulsze pieszczoty świętych Pańskich. Rzekłbyś, wielka Krucjata serca, którą zdrowi przedsiębiorą dla ocalenia chorych.

A liczba tych chorych być musiała przerażającą gdy liczono wtedy w Europie 19,000 lazaretów tak nazwanych od patrona ich św. Łazarza.

(d. c. n.)

Najnowsze odkrycia geograficzne w Azji.

II.

W N-rze 12 tegorocznym naszego Pisma wymieniając „Najnowsze odkrycia geograficzne w Azji” mówiliśmy o zmarłym w zeszłym roku podróżniku generale Przewalskim, obiecując, chociaż w skróceniu tymczasowo opowiedzieć główniejsze jego podróże, co też obecnie spełniamy.

Mówiliśmy już że Przewalski od lat najmłodszych okazywał skłonność do podróżowania, która też uniosła go bardzo wcześnie, bo wkrótce po ukończeniu najchlubniejszym wyższych szkół wojskowych, gdy był chłopcem bardzo młodym jeszcze i... ubogim. Popłynął jednak i to już z określonym planem naukowym. Przedmiotem jego badań na ten raz było pobrzeże Wielkiego Oceanu wzdłuż rzeki Ussuri między 42 i 48 szer. półn. Podczas téj podróży Przewalski

robił sumienne spostrzeżenia trzy razy na dzień, wysnuwając ze swych obserwacji niezmiernie ważne wnioski, dotyczące nauki ściślejszój. Przeciwnie do naszych potrzeb, znalazł on tam pod względem klimatycznym zbyteczną obfitość lasów osłaniających błota, które długo utrzymują wilgoć i oziębiają grunt przez zatrzymywanie śniegów na wiosnę. Ogromne te lasy kraju Ussuryjskiego, dębowe po większój części, były dotąd systematycznie wycinane przez poprzednich właścicieli kraju, Chińczyków, którzy na ściętych pniach dębów, hodowali pewien gatunek grzyba, uważanego u nich za wielkie łakocie. Opisał tę pierwszą swoją podróż młody wędrowiec, a opis ten p. t. „Podróż po kraju Ussuryjskim” zwrócił nań uwagę ludzi uczonych. Otrzymawszy od różnych stowarzyszeń naukowych zachętę i fundusze, Przewalski rozpoczął potem szereg podróży, których ogółem biorąc dokonał w Azji środkowój w czasie od 1871 do 1885 r. cztery: Zwiedził Mongolię i kraj Tangutów. Zająwszy od Kuldży za Tian-Szani nad jezioro Lob-noor, od Zajsanu przez Chami do Tybetu, i do źródlowisk rzeki Żółtej.

Mówiliśmy już, że celem wszystkich podróży Przewalskiego był Tybet, i chęć ujrzenia Hlasy, stolicy Dalajlamy, głowy wyznania buddajskiego. Złe losy prześladowały jednak podróżnika, tak, że nigdy nie dosięgnął Hlasy: w pierwszój podróży przeszkodził mu brak środków materyalnych, w drugiej ciężka choroba, a w trzeciej i czwartój opór sfanatyzowanych krajowców. Nauka jednakże zyskała na tych trudnościach, bo wytrwały podróżnik dając coraz innemi drogami do celu swego, zdobywał też coraz nowe wiadomości. Czytając te opisy mimowolnie drżemy wobec długich marszów po pustyniach bezwodnych, i tego niemniej długiego wspinania się podczas mrozów potężnych, po niedostępnych wyżynach, gdzie rozrzedzone powietrze oddech utrudnia. Młodzi ludzie mający ochotę do podobnych podróży powinni wczytywać się w dzieła Przewalskiego, aby mogli zrozumieć choć małą część trudności, otaczających równie sumiennego podróżnika. Podczas najprzykrzejszych zmian atmosferycznych nie wypuszczał on z ręki busoli, która mu służyła do wytykania kierunku przebytej drogi, czynił najmniej trzy razy dziennie spostrzeżenia meteorologiczne, z niemałym trudem za pomocą odpowiednich przyrządów mierzył wysokość gór, i określał położenie geograficzne miejscowości, zajmując się przytem zbiorami botanicznemi, zoologicznemi i studjami etnograficznemi, a także zabawiał się polowaniem.

Ważnym nabytkiem tych podróży jest wykrycie źródeł kilku rzek, jak: Żółtej zwanéj przez Chińczyków Huan-te; Jan-tsy-tsian'u, albo błękitnéj; znalezienie jeziora Lob-noor w 1876 r., które przed Przewalskim zwane było jedynie z podań Chińczyków i Marka Polo, średniowiecznego podróżnika po Azji.

Wielką też zasługą Przewalskiego jest podanie dokładne opisu słonego jeziora Kuku-noor i naszkicowanie jego obwodu. Od północy i północo-wschodu szafirowe jezioro okalają góry Nan-szan; zaś na południowym brzegu ciągnie się łańcuch wyżyn, którym Przewalski dał nazwę Kukunorskich. Cechą ogólną tych gór jest zupełna jałowość. W ogóle, dolina Cajdamu albo Cajdam, jest to obszerny kraj leżący na pochyłości północnej krawędzi Tybetu, na zachód od jeziora Kukunoor. Południowo-wschodnią granicę Cajdamu stanowią góry Burchun-Budda. Na południe od nich spotkał Przewalski równoległe od nich pasmo Szuga, różniące się od poprzednich tem, że posiadają kilka śnieżnych wierzchołków, zresztą są one tak samo jałowe. Wzdłuż południowéj pochyłości Szuga płynie duża rzeka tejsze nazwy w obszernej dolinie, która pod względem ilości traw i roślin łąkowych zajmuje może pierwsze miejsce w całym Tybecie północnym. Ztąd też pochodzi niezmierna ilość wszelkiego zwierza w dolinie Szuga, tak, że nazbyt łatwe polowanie bardzo prędko znudzić tu musi najzapamiętańszego myśliwca. Wstępując zaś wyżej na góry w tych okolicach, wędrowcy uczuwali przykre wpływy jakie wysokość znaczna miejsca powoduje na skutek rozrzedzonego na wyżynach powietrza

i nie tylko ludzie ale i zwierzęta cierpią na tem, wielbłądy padają czasami bez życia; przyspieszone bicie serca, zawrót głowy, są pierwszymi tego stanu oznakami. Wyżyna Tybetu okolona zewsząd wyniosłemi łańcuchami gór, jest jedyną niedłwie tak rozciągniętą na ziemi, wszędzie prawie wyniesioną na 4,000 metrów nad poziom morza. Na tym to potężnym piedestale piętrzą się wielkie łańcuchy gór, które rozwijają się w piękne formy alpejskie. Klimat Tybetu północnego cechuje przedewszystkiem niska temperatura przez cały rok, i silne burze szczególnie na wiosnę, a także nadzwyczajna suchość powietrza podczas jesieni, zimy i wiosny, natomiast obfitość wilgoci w lecie.

Główną przyczyną nizkiej temperatury jest znaczne wyniesienie nad poziom morza. Nawet doliny Tybetu nie wiele ustępują pod względem wysokości szczytowi góry Białej *Mont Blanc*. Klimat tego kraju nie jest przecież wcale przerażającym, jak go nazywają Indusi i Chińczycy, przeciwnie jest on raczej mimo wywyższenia bardzo umiarkowanym. Klimat wiosny i lata odznacza się raptownemi zmianami temperatury, zdarzającemi się po kilka razy na dzień, na co wielce wpływają burze tybetańskie. Małe mrozy trwają przez całe lato podczas świetnych nocy. Jesień jest najpiękniejszą porą roku. Na wiosnę burze wzmagają się straszliwie. Trawa rosnąca na tej wyżynie w zimie wysycha, w lecie za to padają tu obfite deszcze. Ciekawym jest fakt, że w końcu Maja gdy czas był ciepły a w nocy nagle nastąpił mróz, zdawało się, że rośliny już porozwijane muszą zginąć bezpowrotnie; irysy np. za wzięciem do rąk łamały się jak szkło, tak były skrzepłe. A jednak po wschodzie słońca i rozgrzaniu się gruntu, wszystkie rośliny przysły do siebie i najpiękniej się rozwijały.

Podróże Przewalskiego po Azji środkowej, z których czwarta wyszła z druku niedawno w Petersburgu, są znakomitą zdobyczą dla nauki i prawdziwym niespożytym pomnikiem podróżnika.

POWINSZOWANIE BABUNI.

Ty nie wiesz, babciu, jakam ja uczona!...
Wiem, że mam dziesięć palców... Że się nasza era
Od Chrystusa zaczyna!... Że gdy dobry skona,
To go z sobą stróż anioł do nieba zabiera!...
Wiem, babciu, że to dzisiaj twoje imieniny...
Że w dzień tak uroczysty dla całej rodziny,
Každy ci rad przyniesie uścisk i wiązanie...
Ale choć cię kochają miłością najszczerszą,
Dumną z tego, że jestem ze wszystkich najpierwszą:
Pierwszy całus babuniu za sto dalszych stanie!...

* * *

Uroczystą przysięgę składam ci też w darze,
Że postaram się spełnić matczyne rozkazy...
Że się z młodszym rodzeństwem raz na dzień poswarzę...
Że w ciągu dnia zgrymaszę najwyżej: trzy razy!...
Że nie będę zabierać zabawek braciszka...
Że siedzieć będę grzecznie, cichutko, jak myszka,
Podczas gdy starsi będą rozmawiać wieczorem,
Przyrzekam jeść chleb z solą! jeśli choć raz jeszcze
Odesłana spać wcześniej pod bony nadzorem,
Bezwstydnie się, jak wczoraj przy gościach rozwrzeszczę!

* * *

Przyrzekam ci też, babciu, uczyć się z ochotą
Wszystkiego, co się ludziom przydać na coś może...
Bawić się lalką tylko rano przed robotą,
I drugi raz wieczorem, nim się spać położę...
Przyrzekam ci też babciu, rozdać całe mienie
Pomiędzy nieszczęśliwych, słodząc ich cierpienie,
Nietylko datkiem grosza, lecz słowem miłości...

Przyrzekam być babunią, jak ty doskonałą,
Jeśli mi tam kiedyś, w dniach późnej starości,
Podobną do mnie wnuczkę niebo zesłać miało.

N. Sokołowska.

Listy z podróży do Włoch.

Neapol 2 Marca 1889 r.

Wyobraź sobie moje szczęście droga siostrzyczko, miałam zostać w Pizie, a tymczasem rodzice zrobili mi niespodziankę, zabierając mię z sobą do Neapolu; nie marzyłam nawet o tem i teraz jeszcze sama nie wierzę memu szczęściu.

Po cichój i spokojnej Pizie, hałaśliwy i ożywiony Neapol robi dziwne wrażenie; tam ruch prawie żaden, mało przechodniów, jeszcze mniej powozów, wszędzie grobowe milczenie; tu hałas i krzyk nieustający, idąc przez ulicę trudno się precyzować, jadąc zaś co chwila stawać trzeba, aby wymijać, z największą ostrożnością setki karet i powozów, krzyżujących się bezustannie w uliczkach tak wąskich, że często zachodzi obawa wypadku. Dorożkarze tutejsi zamiast wołać: „na bok”, ciągle z bicza trzaskają, a odgłos ten zmieszany ze rżeniem koni, rykiem osłów, beczaniem kóz, które jaknajswobodniej spacerują po chodnikach szukając pożywienia w rynsztokach, tworzy hałas niedowytrzymania. Do tego trzeba jeszcze dodać nawoływania dorożkarzy ofiarujących swe usługi przechodniom, głośne prośby żebraków, których się na każdej ulicy co najmniej kilku spotyka, krzyki przekupniów z szyldkretowemi wyrobami, wychwalających swój towar, i nakoniec piskliwe głosy bab sprzedających kwiaty. Najgorszą wszakże z tego jest ogromna katarynka naśladowująca całą orkiestrę; której muzyce Włosi przysłuchują się z widocznym zachwytem.

Neapol ma charakter zupełnie odrębny, a jak mi mówiono trochę wschodni. W niektórych rzeczach przoduje cywilizacją n. p. teatr San-Carlo jest jednym z największych w Europie, tramwaje łączą wszystkie przedmieścia z miastem, ekwipaże są pyszne i t. d. Pod innemi za to względami wielkie zacofanie; uliczki są bardzo wąskie, chodniki tylko na szerszych ulicach znaleźć można, a na innych niema ich wcale, akrobatów pokazujących sztuki widać na każdym placu, a w koło nich gapiące się tłumy, kozy, krowy też chodzą swobodnie po ulicach, gdyż zamiast mleko nosić do domów, właściciel prowadzi je do miejsca zbytu; podobnie jak i krowy każda koza zna nawet dom, w którym ma być wydojona i sama wdrapuje się czasem aż na najwyższe piętra, zwyczaj ten więcej wygodny niż estetyczny. Dziwne jeszcze inne rzeczy można tu widzieć: i tak np. na ulicy Toledo, najpiękniejszej i najszerszej w całym mieście, o czwartej godzinie po południu, gdy elegancki świat jedzie na spacer, wóz zaprzężony w osła, wołu i konia, pełen śmieci miejskich sunie obok pięknej karety zaprzęzonej pysznemi końmi, w szorach błyszczących od świecideł. Co zaś do piękności tak wslawionej Włochów południowych, nie widziałam jej wcale; mają oni ciemną cerę i czarne oczy, ale podług ich mniemania oczy niebieskie są piękniejsze; spodziewałam się usłyszeć harmonijne ich głosy tak powszechnie opisywane, ale i pod tym względem doznałam rozczarowania, oprócz pewnego śpiewaka, którego głos bardzo był podobnym do beczenia kozy, nic innego nie słyszałam.

Nie widziałam też pięknych ubiorów ludowych, przewodnik kóz kroczy za niemi w paltocie, z melonem na głowie i laseczką w rękę; na przedmieściach kobiety z rozczochranemi włosami, w brudnych kaftanach i pantoflach z drewnianą podeszwą, zwanych tutaj *zoccoli*, bardzo przypominają nasze żydówki z za Żelaznej Bramy. Chodzenie po Neapolu jest bardzo męczące, bo przestrzenie ogromne, gdyż miasto jest jakby rozrzucone naokoło zatoki, a ciągle trzeba iść pod górę lub z góry. Najprzyjemniejszej przechadzki używać



Powinszowanie babuni.

można na Chiaj, ulicy ciągnącej się po nad morzem, gdzie się zbiera całe miejscowe towarzystwo. Gdy morze wzburzone, bałwany podnoszą się tak wysoko, że opadają gęstym deszczem oblewając przechodniów. Zabawny to widok patrzeć na eleganckie panie uciekające zwykle nadaremnie przed morskim szmigusem.

Powietrze nam nie służyło w czasie całego naszego pobytu w Neapolu, wiatr, deszcz, grad, zimno naprzemian; morze było ciągle szare i wzburzone, tak, że nie mogliśmy się udać do wyspy Capri, leżącej naprzeciw portu, gdzie się znajduje sławna grotta lazuruwa, o której mówią, że ma kolor

niebieski jak niebo i morze tęczowe. Skorzystaliśmy jednego pięknego choć chłodnego dnia aby zwiedzić Pausilippo. Droga aż do tego miejsca jest czarującą, jadąc ciągle pod górę ma się coraz to piękniejszy widok na zatokę neapolitańską. Dojechawszy do Pausilippo morze przedstawiło się nam ze strony wyspy Ischii. Przeszliśmy grotę 900 metrów długą, wykutą w skale, jeszcze za czasów rzymskich, przecina ona całą górę Pausilippo, tak, że u wejścia jej widać morze ze strony wyspy Ischii, u wyjścia zaś po dziesięciu minutowej przechadzce w ciemnościach, ze strony Capri, gdyż góra tworząc przylądek zakrywa resztę zatoki — było to coś czaru-

jącego! Dnia tego mieliśmy jeszcze jeden cudny widok, który przechodził wszystkie inne; ze wzgórza nazwanego grobem Wirgiliusza, (gdyż jest mniemanie, że zwłoki poety spoczęły tu niegdyś) ukazał nam się jakby w amfiteatrze Neapol, rozciągnięty ponad zatoką aż do stóp Wezuwiusza w całej swej wspaniałości, ów Neapol o którym mówią Włosi: „Zobaczyć Neapol a potem umrzeć,” co ma znaczyć, że już nic piękniejszego w życiu widzieć nie można. Wezuwiusz, raczył nam się ukazać niezakryty wcale chmurami, dalej widać było przedmieścia Torre del Greco i Castellamare a następnie Sorrento, do którego wdychaliśmy jak Mojżesz do Ziemi obiecanej, nie mogąc jak on dotrzeć do celu podróży. Nie mieliśmy też odwagi potrzebnej aby przedsięwziąć wycieczkę na Wezuwiusz, utrudnioną wtedy zepsuciem kolei, która do połowy drogi prowadzi. Patrzyliśmy tylko na dym wybuchający ze szczytu wulkanu, który wieczorem zablęsk jak płomień wielkiego ogniska. Nie widać tu pamiątkowych zwalisk, ale są jeszcze mury które były świadkami średniowiecznych walk i zapasów. Castel del Oro i Castel St. Elmo dzięki wielkiej staranności po dziś dzień dobrze zachowane. Były to niegdyś dwie fortece broniące miasta, pierwsza od strony morza a druga z przeciwniej. W tej drugiej osadzano zwykle więźniów, obchodzono się zaś z nimi tak okrutnie, iż mówią że łyzy ich mogłyby całą Neapolitańską zatokę wypełnić.

Nazajutrz po odbytej wycieczce zwiedzaliśmy kościół katedralny św. Januarego, bardzo wspaniały, mieszczący w skarbcu swym kosztowne klejnoty i mający pełno wyzłocefi. Co do mnie, nie lubię tych złocefi i wolę katedrę pizańską o marmurowych kolumnach w jej surowej prostocie. W jednej z najbogatszych kaplic katedry neapolitańskiej znajdują się relikwie św. Januarego, pomiędzy niemi krew tego świętego, zachowana w złotym naczyniu. Ciekawą też jest kaplica podziemna, gdyż kościół tu był wybudowany na dawnej świątyni pogańskiej, której jeszcze resztki pozostały. Tu też obok obrazów Matki Bożkiej widać płaskorzeźby, przedstawiające Wenus i Marsa, na pierwszy rzut oka ten widok razi, ale przypomina zarazem, że wszędzie krzyż Chrystusowy wyrastał na gruzach pogaństwa. Świadczą o tem także ogromne tutejsze katakomby, gdzie obok siebie spoczęły szkielety pogan i pierwszych chrześcijan męczenników.

Zwiedziliśmy także sławny pałac Capo di Monte, malowniczo położony na wzgórzu i otoczony pysznym parkiem, w którym chodzą złote i srebrne bażanty. Pałac ten wielkich rozmiarów, napełniony obrazami, zbiorami starożytniej broni i bogatemi sprzętami, ma nadto jeszcze jedyny w Europie zbiór porcelany tejże nazwy. W tej samej bowiem miejscowości była założona fabryka porcelany na wzór saskiej w Meissen, lecz nader krótko trwała i wyroby jej są rzadkością wielce przez znawców poszukiwaną.

Najwięcej może przyciąga podróżnika do Neapolu Pompeja. Pompeja! to żywe miasto odnalezione pod ziemią po osiemnastowiekiem pogrzebaniu.

Pompeja zapomniana zupełnie przez Rzymian, odnaleziona została dopiero w przeszłym stuleciu; a choć już ogromna przetrzeźn została odkryta, wykopywanie prowadzi się dalej i coraz to nowe gmachy występują z pod ziemi; mówią nawet, że jeszcze połowy ich nie odkryto.

Starożytny pisarz rzymski, Pliniusz młodszy, naoczny świadek strasznej katastrofy wybuchu Wezuwiusza, która zniszczyła wspaniały gród ten, pozostawił jej opis. Podobnie jak on większa część mieszkańców Pompei zdołała uciec od deszczu lawy, kamieni i popiołów, który trwał trzy doby i zwolna całe miasto zasypał, jednak licząc około dwóch tysięcy znalezionych trupów; niektóre posypano wapnem i zdołano w całości przenieść do muzeum; na wszystkich tych zachowanych twarzach odbił się okropny wyraz bóleści i rozpacz. Bo też czyż może być śmierć straszniejsza? Jak powiada Pliniusz, mieszkańcy miasta nie byli wcale przygotowani na wybuch Wezuwiusza, zaskoczył on ich nadspodziewanie. Dowodem tego, że w pewnej piekarni pompejańskiej znaleziono 40 jeszcze niedopieczonych bochenków chleba,

gdzie indziej znów wino, oliwę ocet owoce, mięso i jaja, (z których jedno jeszcze całe sama widziałam). Miasto całe czyni wrażenie wielkiego grobu; mury stoją po większej części całe, ulice wybrukowane pięknymi kamiennymi płytami, na których koła wozów głębokie wryły koleje. Wszędzie spotyka się ślady życia, szuka się go dokoła lecz nadaremnie. Chodząc po domach żałowałam, że wszystkie posągi i rzeźby, większą część fresk i mozaik zabrano do muzeum narodowego w Neapolu, gdyż tam w nowym budynku postawione porządnie i symetrycznie, nie czynią tego wrażenia, jakie czyniły w miejscach, gdzie tyle wieków przetrwały. Uliczki są tu długie i kręte i wszędzie mają chodniki, domy niewielkie, a piętrowych mało, gdyż wznoszące się nad poziomem ogólnym uległy większemu zniszczeniu; domy prawie wszystkie według jednego wzoru budowane. W każdym domu było „atrium” czyli podwórce, do którego prowadziły korytarzyk „vestibulum” zwany. W atrium znajdowało się „pluuium” to jest bassen do przechowywania wody deszczowej, dalej duża sala „tablinium” ognisko życia domowego (dzisiejszy salon). Był też ogródek „xystus”, następnie znajdowały się sypialnie, jadalnia, kuchnia i t. d., tak małe, że nie pomieściłyby dzisiejszych naszych sprzętów. Widocznie ludzie nie wiele tu przesiadywali, niewolnicy pracowali w podwórzach a życie towarzyskie płynęło po za domem: w teatrach, w forum, często bardzo w łaźniach, urządzanych z nadzwyczajnym przepychem. W Pompei łaźnie najmniej ucierpiały, dach nawet nietknięty, a całość świadczy jak się Rzymianie znali na wygodach życia, na tem co dzisiaj nazywamy komfortem. Brali tu oni kąpiele zimne „fregidarium”, letnie „tepidarium” i parowe zwane „callidarium”. Oprócz sal kąpielowych były czekalnie ozdobione freskami i rzeźbami.

Forum duży plac równoboczny, gdzie miały miejsce wszystkie zebrania, wybory, sądy i t. p. otoczony jest galeryą, podtrzymaną pięknymi kolumnami w stylu doryckim; prowadziły doń dwie bramy: jedna Nerona, druga Marka-Aureliusza, dzisiaj szczątki tylko z nich pozostały, a posągi Cezarów przeniesiono do muzeum w Neapolu.

Amfiteatr, miejsce ulubione Rzymian, jest dość dobrze zachowany, tworzy on półkole przeznaczone na scenę, przed nią wznosiły się stopnie, na których zasiadali widzowie. Cały amfiteatr zagłębiony w ziemi tak, że scena i stopnie są niżej poziomu; łoże cesarskie tylko wznoszą się na równi z innymi gmachami. Oglądając to wszystko pomyślałam, że ten amfiteatr za czasów Rzymian tak napełniony widzami przy hucznych igrzyskach, pełen życia, gwaru i śmiechu, dzisiaj tak milczący, pusty i opuszczony, jest przykładem jak wszystko na ziemi przemija, jak tu nic trwałego niema.

Jak widzisz, kochana siostrzyczko, nie daję ci jeszcze opisu Sorrento Hereulanum i Capri, gdyż na oglądanie tych pięknych i ciekawych miejscowości czasu nam nie starczyło.

W muzeum (dawniej „Burbońskim,” dziś „Narodowym” zawierającym wszystkie prawie skarby odkryte w Herculanum i Pompei, poznałam dopiero cywilizacją grecką i rzymską, nie wiedziałam że starożytni do takiej doskonałości doprowadzili sztukę, a widok tych wszystkich arcydzieł, zgromadzonych w jednym miejscu, wprawił mnie w zdumienie. Nieumiem wyrazić tego co odczułam, wolę więc zamilczeć; boję się zresztą wygłosić jakie niedorzeczne zdanie, kończę więc list ten, przesyłając ci, kochana siostrzyczko serdeczne uściśnienia.

Szczerze cię kochająca

Amazonka podlaska.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA Z PODRÓŻY NA OKOŁO ŚWIATA.

Paryż d. 1 Marca 1888 r.

O! Wańdzu, siostrzyczko droga, ani się spodziewasz, jak dziwną, niespodziewaną wiadomość mam ci do przesłania

w tym liście. Już to przedewszystkiem śpieszę ci donieść, że znakomici lekarze paryzcy, którzy mieli ostateczny wyrok wydać o mojem zdrowiu, wygłosili bardzo pomyślny. Chociaż schudłem i zmierzniałem, pomimo kaszlu i innych objawów chorobliwych, niebezpieczeństwa jednak niema, bo niema, jak oni powiadają, żadnej wady organicznej. A szukali sumiennie, muszę im tę sprawiedliwość oddać, obracali mnie na wszystkie strony, obsłuchiwali, stukali, pukali, nadużywając trochę mojej cierpliwości, no — i nic; jestem tedy bez wady, jak ostatecznie orzekli, przez co należy rozumieć bez wady organicznej, fizycznej, pod względem moralnym nie jestem zapewne tak szczęśliwie uposażony.

Ojciec niezmiernie się ucieszył, prosił wszakże tych panów, aby coś radzili na moją chorobę. Długo rozmyślali, kiwali mądrymi głowami, powiedzieli w końcu, że wszystkie moje dolegliwości pochodzą ze zbytniego wydelikacenia, że prawdopodobnie w dzieciństwie zanadto na mnie chuchano, chroniono od najłżejszego powiewu powietrza, a ta troskliwość przesadzona szkodliwie na zdrowie wpływała. Dzieci potrzebują powietrza, ruchu, rozsądnego hartowania, inaczej wędną, jak rośliny, w zamkniętej piwnicy trzymane.

Jak on to odgadł, ten mądry doktor paryzki, jakgdyby patrzył na moje wychowanie. To też ojciec wyznał z westchnieniem, że w samą rzecz tak było. Gdy matkę straciłem w kolebce, powierzono mnie staraniom ciotki, która przez zbytnią troskliwość obchodziła się ze mną tak zupełnie, jak to ów domyślny lekarz opowiedział. I oto są skutki tego wychowania: w piętnastym roku życia jestem prawie niedołągą...

Pamiętaj siostrzyczko, że tobie tylko w zaufaniu to wszystko mówię. Dobra, kochana ciocia zmartwiłaby się bardzo, gdyby się o tem dowiedziała. Ja żalu do niej nie mam, mogę jej mieć za złe, że mnie do zbytku kochała? A potem... ale i to także powiem ci w największem zaufaniu, moja Wandeczko; jakże tu się nie gniewać o chorobę, na którą takie lekarstwo przepisują lekarze?

Bo oto teraz przystępuję do rzeczy najważniejszej, wyobraź sobie, siostrzyczko moja droga, wybieram się w podróż, i to w podróż nielada, ni mniej ni więcej, tylko... w podróż naokoło świata! Oto jest lekarstwo, które według zdania znakomitości tutejszych, organizm mój, wprowadzie bez wady, lecz wycieńczony i osłabiony, ma przyprowadzić do równowagi, nadać mu hart, którego pozbawiło go niewłaściwe, zbyt miękkie wychowanie. Powietrze morskie ma być nadzwyczaj wzmacniające, marynarze po większej części bywają zdrowi i silni. Gdy więc szanowny eskulap francuzki powiedział ojcu, że najlepszą dla mnie kuracją byłby dłuższy pobyt nad morzem, a skuteczniej jeszcze mogłaby podzielać dłuższa żegluga na oceanie, ojciec natychmiast zgodził się na żeglugę i myślał tylko o sposobach wyprawienia mnie jak najprędzej w podróż.

Ty pojmujesz zapewne, siostrzyczko, jak mi ten świetny pomysł mądrego lekarza przypadł do smaku. Ja, co tak chciwie pożerałem zawsze opisy morskich podróży, począwszy od Robinsona, ja, co niegdyś w dzieciństwie, ku wielkiemu zgorzzeniu i przerażeniu pocziwój ciotki, miałem zamiar uciec z domu i zostać majtkiem na okręcie, ażeby tylko mieć sposobność odbrycia podróży naokoło świata, dziś jawnie i za zezwoleniem ojca w tę podróż wyruszam.

Dziwnie bo też szczęśliwie złożyły się dla mnie okoliczności. Jeden z rodaków naszych, zamieszkałych w Paryżu, dawny ojca znajomy, jest w bliskich stosunkach zażyłości z pewnym uczonym przyrodnikiem, który właśnie w tych czasach wybiera się w celach naukowych w podróż morską bardzo daleką, ma zwiedzić wyspy Sundzkie, wybrzeża Indyj, Oceanii, potem o Amerykę zawadzić i ze strony przeciwniej powrócić do Europy. Jednem słowem ma odbyć podróż naokoło świata, w całym, najświetniejszym znaczeniu tego wyrazu. Jest to człowiek wielkiej zacności, miłego niezmiernie charakteru, był dawniej nauczycielem, młodzień lubi i umie się z nią obchodzić. Otóż ten pan Antoni Dulac na prośby ojca przyrzekł zabrać mnie z sobą i czuwać nademną pod-

czas podróży. Ojciec uprzedził go, rozumie się, że w tych dniach kończę lat piętnaście, więc nie będzie potrzebował pilnować mnie, jak piastunka; miałem już przecież aż nadto tej troskliwości przesadzonej, pora wreszcie bym hartując ciało do samodzielności zaczął się zaprawiać.

Podróż nasza potrwa rok może i z okładem; przykro to będzie zapewne przez czas tak długi nie widzieć ojca, i ciebie, ale w podróży, i to tak zajmującej, dni pewnie chyżo mijać będą, a tyle przyjemności trzeba przecież okupić jakąś kropelką goryczy. Ojciec powiada, że i dwa lata gotów mnie nie widzieć, byle tylko później obaczył rumieniec zdrowia na mojej twarzy; ty, moja Wandeczko kochana, z pewnością powtórzysz toż samo, nieprawdaż?

Jestem nad wyraz szczęśliwy. Te marzenia, które się snują zwykle w każdej głowie młodzieńczej i nigdy prawie nie przechodzą w rzeczywistość, dla mnie się sprawdzają. W szesnastym roku życia odbyć podróż naokoło świata, taka gratka rzadko komu się wydarza. A dodaj do tego, że jadę w towarzystwie uczonego męża, który się zna doskonale na geografii, zoologii, botanice i wszelkich naukach przyrodniczych; będę mógł bardzo wiele skorzystać, bo pan Antoni, tak mi się kazał nazywać, niezmiernie lubi mówić o przedmiotach naukowych, jeżeli go kto chętnie słucha. Że ja chętnie słuchać będę, to nie ulega wątpliwości. Wszystko zaś, co na szerkiem świecie obaczę i od p. Antoniego usłyszę, będę zapisywał w dzienniku, który zamierzam przez cały czas podróży prowadzić jaknajporządniej. Tobie ten dziennik ofiaruję, siostrzyczko, będę ci go przesyłał w miejscu listów przy każdej sposobności, bo podczas żeglugi, i to do tak oddalonych stron świata, korespondencya musi być utrudniona.

Nie często więc, Wandeczko droga, odbierać będziesz listy odemnie, lecz za to jak nadejdzie, to już paczka spora, opatrzona osobliwemi różnemi markami, pieczęciami, znać będzie nawet na kopercie ślady długiej drogi przez morza i lądy. Wyobrażam sobie, jak ty się cieszyć będziesz przy odebraniu każdego takiego listu, a przecież i dumą nieraz uderzy twoje serduszko, gdy pomyślisz, że to twój brat jest tym wielkim podróżnikiem, pisującym do ciebie z Indyj, z Oceanii, z wysp rozmaitych, przez ludożerców zamieszkałych. Przyjemnie ci będzie, nieprawdaż, gdy spotkasz się z którą z przyjaciółek, powiedzieć jej po przywitaniu:

— Wiesz, odebrałam wczoraj list od Kazia z Sumatry, albo z Madagaskaru.

— Czy być może! — wykrzyknie ta panienka — twój brat, ten studencik, co to w zeszłym roku grywał z nami w krokietu? Więc on tak daleko zajechał? I cóż pisze?

Oho! jestem pewny, że listy moje będą nieraz głośno czytane w obec młodych słuchaczek, wśród wykrzykników podziwu i zachwycenia, bo o to przecież postara się człowiek, by donosić różne rzeczy, budzące podziw i zachwycenie. Ale żart na stronę; dotychczas prawie nie rozstawaliśmy się z sobą, wszystko było wspólne między nami, nieraz otaczający mówili, że niełatwo napotkać można rodzeństwo kochające się tak serdecznie. Dlatego też pragnę, siostrzyczko droga, abyś ty w wyobraźni przynajmniej odbyła tę podróż razem ze mną. Postaram się najdrobniejsze szczegóły opisać tak dokładnie, ażebyś mogła myślał przenosić się w te oddalone okolice, patrzeć na nie mojemu oczyma, wrażenia moje podzielać; tym sposobem towarzyszyć mi niejako będziesz. A i ja także w każdej chwili i na każdym miejscu ciebie mieć będę przed oczyma duszy, wrażenia doznane odnosić będę do ciebie, rozdzieleni przestrzenią, myślą się zjednoczymy. Nieprawdaż, siostrzyczko, że to dobry pomysł?

A teraz bywaj mi zdrowa, następny list odbierzesz już z za morza, bo niezadługo wyruszamy. Ściskam cię po tysiąc razy,

przywiązany brat Kazimierz.

II.

20 Marca.
na pokładzie statku „Jaskółka”.

Trzy dni temu przybyliśmy do Tulonu, ojciec sam mnie odwiózł i dziś rano odprowadził na pokład wspaniałego parowca, noszącego śliczną nazwę Jaskółki. (L'Hirondelle.) Jest to statek rządowy, odwozi oddział wojska do Tonkinu, pasażerów zwyczajnych zabiera także sporą gromadkę. Pan Antoni nie ma zamiaru jechać prosto do Tonkinu, wysiadzie gdzieś po drodze, sam jeszcze nie wie gdzie, ja, rozumie się, trzymać się będę jego boku.

O godzinie 10-tój wystrzał armatni zwiastował, że statek podnosi kotwicę i puszcza się w drogę. Wielkie wzruszenie mnie ogarnęło; z jednej strony żal ścisnął serce moje i nawet, wyznaję to bez wstydu, zalałem się łzami, gdy ojciec, niemniej odemnie rozrzuwiony, po raz ostatni przyciskał mnie do serca; lecz z drugiej strony, w głębi duszy czułem niewymowną radość na myśl, że puszczam się w świat daleki, na szerokie morze, a to, co dla każdego chłopca w moim wieku bywa zwykle niedoścignionem, czarownem marzeniem, dla mnie rzeczywistością się niebawem stanie.

Liczne łodzie, żaglowe, parowe, otaczające nasz okręt, szybko oddalać się zaczęły, uwożąc osoby, które odprowadzały podróżników, na jednej z nich i ojciec odpłynął, białą chustkę jego, powiewającą w powietrzu, widziałem póty, póki łódź nie znikła mi z oczu. Dziwnego doznałem uczucia, jak-gdyby nagle zerwała się nić, wiążąca mnie z lądem, z resztą ludzi, ten statek, to świat jakiś odosobniony, który mię unosi w niezmierną przestrzeń. Nie jestem wprawdzie osamotniony, ruch, ożywienie panujące na pokładzie, aż nadto świadczą o tem, że światek ten nie jest pozbawiony ludności. Zgrzytnęła śruba okrętowa, kłęby dymu i pary buchnęły w powietrze, odgłos dzwonów, przeraźliwe gwizdawki, nawoływania rozmaite odzywają się raz po raz, majtkowie biegają na wszystkie strony, wykonywając rozkazy, dopełniając śpiesznie czynności, które mają w ruch wprowadzić wodnego olbrzyma, unoszącego nas na falach.

Nie długo jednak trwa to pozorne zamieszanie, pozorne tylko, gdyż we wszystkich tych hałasach, w całej bieganiu, najdoskonalszy porządek panuje. Względna cisza zaległa pokład, wyraźniej słyszeć się daje jednostajny szum fali, ląd zwolna się oddala, coraz wspaniałej roztacza się zewsząd niezmierną przestrzeń wodna, aż wreszcie niknie całkowicie w oddali wążki rąbek lądu, nikną mgły szarawe, obłoki dymów, unoszące się ponad miastem, jesteśmy na pełnym morzu. Gdzie okiem zajrzeć, nie widać nic zgoła, oprócz falującej wodnej toni, stykającej się z błękitem niebios. Trudno sobie wyobrazić, jakie ten widok niewysłowione sprawia wrażenie; zdaje się chwilami, że statek całkowicie opuścił naszą planetę, że płynie gdzieś w niezmiernych, dalekich przestrzeniach wszechświatowych.

Ty, co nigdy w życiu nie widziałś morza, Wandeczko droga, nie możesz nawet pojęcia mieć o tem, jak wygląda wielki statek parowy. Znasz co prawda żeglujące pomiędzy Warszawą i Płockiem parowe baciki. Przy naszej „Jaskółce” te maluczkie parowce wydawałyby się tak zupełnie, jak owe drobne zabawki dziecinne, małe domki, małe wózekki i gospodarstwa dla lalek, obok takichże samych przedmiotów, do użytku ludzi przeznaczonych. Taki statek, to ogromny gmach pływający, gmach obszerny i okazały, w którym się liczni mieszkańcy z całą wygodą mieszczą. Czy ty wiesz, ile osób podróż odbywa razem ze mną na „Jaskółce”? Ni mniej ni więcej, tylko 895, ja jestem 896. Załoga sama

okrętowa składa się z 304 ludzi, wyższych stopni marynarzy jest 37, a pasażerów wojskowych i cywilnych 555. To nie żarty, nie w każdej wiosce znajdzie się tylu mieszkańców.

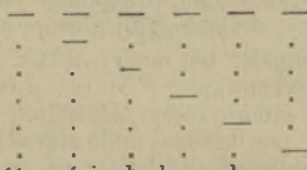
(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze zaimek, a trzecie narada
Którą lud cały, lub jego część składa;
Pierwsze i drugie zaprzatają głowę
Bywają różne, nie zawsze różowe;
Zaś *wszystko*, oznacza
Pseudonym układacza
Gdym objaśnił tak dokładnie,
To już chyba każdy zgadnie.

Łamigłówka geograficzna.

(Od Tolwida dla Jaskółki z nad Sekwany).



Wypisać sześć sześciogłoskowych wyrazów tak, aby litery zastępujące kreski, tak w poziomym jak ukośnym kierunku, utworzyły nazwę miasta w Szwajcaryi. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Szwajcaryi. 2. Wyspa w Azji. 3. Miasto w Anglii. 4. Miasto pograniczne austriackie. 5. Prowincya w Austrii. 6. Miasto w Hiszpanii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Homonimu:
Wąs.

Łamigłówki krzyżoków:

m a r M a r a
m a r A t o n
k a r T u z i
M A T E J K O
k r a J c z y
w a r K o c z
r a d O m k a

OGŁOSZENIE.

Poszukuje się na wieś w guberni Siedleckiej chłopczyka dla wspólnego przygotowania się do szkół. Wiadomość w Redakcyi.

Wyszła z druku książeczka wierszem i prozą p. t. „Pies”, napisana dla małych dzieci p. Maryą Weryho. Cena kop. 20.

SPROSTOWANIE:

W numerze 25 wiersz pierwszy Homonimu, wydrukowano Płocka zamiast Połocka.

W liściku zaś do Koziczki Tatrzańskiej zamiast wysokim talentem, wydrukowano niewłaściwie wysokiem; w liściku zaś do Hajduczka spokojnem zamiast: spokojnym.

TRĘŚĆ: Szach perski (z drzew.) — Najnowsza powieść Deotymy. — Odkrycia geograficzne w Azji. — Powinszowanie babuni, wiersz p. N. Sokolowską (z drzew.) — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Pawie pióro, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.). — Norymberskie jajko. — Imieniny Basi, komedyjka p. Arę. — Dzień swobody, powiastka. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



PAWIE PIÓRO.

Wojtuś, chłopiec od szewca, był bardzo ubogi,
I często zamiast butów miał brudne nogi;
Lecz pracować nie lubił, a lubił przysmaki,
I stroić się, i na czapce przypinać cudaki.
A potem zamiast siedzieć pilnie przy robocie
Gwizdał stojąc przed bramą, lub skakał po błocie,
Za co majster robotę miał znów z jego skórą.
Raz Wojtuś na podwórzu znalazł pawie pióro,
Chwycił je w lewą rękę, po mieście się szasta;
Co jemu po robocie — miał pióro i basta!
Wszak robota nie zajac, nie skoczy do lasu
Wojtuś sobie odpocznie i wróci zawczasu.
Majster tam nie zapomni, robotę zostawi,
On tymczasem ma pióro, więc się nim zabawi.
Ale majster nie lubił w robocie mitręgi,
I srodze napominał za wszelkie włóczęgi;
Zostawił więc robotę, nie zostawił jada.
Wojtuś nie jadł obiadu, wieczerza przepadła,
Poszedł spać nic nie jedząc, ale od téj pory
Był więcej do roboty niż do skoków skory.
Za czapkę na pamiątkę zatknął pawie pióro,
I pracując wciąż pilnie, nie spotkał się z burą.

Z. Morawska.

NORYMBERGSKIE JAJKO.

Było to dawno, bardzo dawno temu bo w 1540 roku.

W małej podkarpackiej wiosce szli wszyscy na spoczynek, pasterze napoił trzody, tu i owdzie tylko słychać się

dawał dzwonek zabłąkanęj krowy lub kozy, którą odprowadzano do stajenki. Stróż nocny obchodził ulice, krzycząc według starego zwyczaju:

Już dziewiąta na zegarze,
Gaście płomień gospodarze,
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Proście Boga, w nim nadzieja.

A zegar wtedy był rzadkością wielką, godziny mierzono piaskiem na klepsydrze. Na wieży krakowskich kościołów dzwoniły one już wprawdzie, ale w małej wioszczynie podkarpackiej nie znano wcale zegarów, tylko z Krakowa przeniosło się o nich podanie i stara piosenka nocnego stróża, powtarzała je codziennie.

Do chaty leśniczego na skraju wsi leżącej, zapukał spóźniony gość.

— Kto tam — zapytał stary Jarasz, co i kołodziejką zarabiał i sztuczne młynki umiał strugać dzieciom, żadnej odpowiedzi, ale stukanie powtórzyło się znowu.

— Otwórz Jasiu chatę i wyjrzyj.

Posłuszny parobek wyszedł, a za chwilę wprowadził zgarbionego staruszka.

Nie pochwalił on Pana Boga jak należy, tylko stanął przy drzwiach i niezrozumiałym językiem coś mówić zaczął.

— Jakiś ta Niemiec przybędą — mruknął Janek niechętnie.

— Pewnie że przybędą — powtórzył za nim gospodarz — strach puścić takiego do chaty, jeszcze okradnie i ucieknie.

— Toż niepodobna odmówić podróżnemu schronienia — odezwała się teraz od komina gospodyni. Gość w dom Bóg w dom, takie przykazanie, słuchali go starsi, słuchać go i my będziemy.

I to mówiąc dobra kobieta, przysunęła podróżnemu ławkę, na której postawiła wprzód miskę klusek.

Jadł i dziękował w niezrozumiałym języku, pokazując miłosierną niewieście ranę na nodze, która mu chód utrudniała.

Przyniosła wody, obmyła ranę, wydobyła z niej cierń i owinęła nogę płótnem, a potem ugotowała jaj na twardo i włożyła je do torby podróżnego, żeby miał się czem w drodze posilić.

O świcie wyszedł starzec, ale jakież było zdziwienie Małgorzaty gdy biorąc koszyk z jajami, zobaczyła między niemi jedno świecące.

Zdziwiła się bardziej jeszcze gdy poczuła, że w tym jajku dzwoni coś i żyje.

W téj samej chwili wszedł młody dworzanin księcia, oznajmiając łowy na dzień jutrzejszy.

Dojrzał przedmiot błyszczący w rękach Małgorzaty.

— To norymberskie jajko — zawołał — nasz pan kupi je od was i dobrze zapłaci.

Były to pierwsze kieszonkowe zegarki zupełnie z kształtu do jajka podobne, które w Norymberdze wynalazł Piotr Hele około 1509 r. Podróżny Niemiec, przez wdzięczność zostawił jeden Małgorzacie. Dworzanin

zaniósł swemu panu norymberskie jajko. Książę hojnie zapłacił za nie. Byt rodziny leśniczego polepszył się odtąd znacznie, a Jarasz uczył dzieci gościnności, której dobry przykład dawała im matka.

Z. B.

URODZINY BASI.

OSOBY.

- P. KRAIŃSKA matka.
 - BASIA jęj córka lat 12.
 - JÓZIA uboga szwaczka.
 - MARYSIA kucharka.
 - MANIA
 - JADWINIA
 - STASIA
 - JANEK.
 - STEFICIO
 - KAZIO
 - WICUŚ.
- } koleżanki Basi.
- } krewni Basi.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

AKT I.

SCENA I-a.

(Pokój jadalny skromnie lecz starannie umeblowany. Na oknach pełno kwiatów, przy stole siedzi matka i szyje, nieopodal Basia czyta).

BASIA *(opuszcza książkę na kolana i uśmiechając się mówi).*

Ach mammo, jak ja się cieszę z tego przebrania, całą noc o niem śniłam *(sama do siebie mówi powoli).* Spódniczka naszywana, gorsecik z kółeczkami, fartuszek muslinowy... *(na głos)* Ale czy Józia wykończy je na czas?

MATKA.

Miała je przynieść o 9-těj, powinna więc już być *(słychać stukanie za drzwiami)* otóż idzie. Proszę wejść. *(wchodzi Józia ubogo lecz schludnie ubrana, całuje w rękę p. Kraińską kłania się Basi)* Dzień dobry panience.

BASIA.

Dzień dobry kochana Józiu. czy wykończyłaś przebranie?

JÓZIA.

Już panienco, *(wyjmuje z zawiniątka białą spódniczkę, naszywaną różnokolorowemi wstążkami i tasiemkami srebrnemi i złotemi, granatowy gorsecik z kółeczkami, i muslinowy fartuszek oszyty szychem i czołko aksamitne ze wstążkami)* niech no panienco patrzy jakie ładne.

BASIA.

Ach przesliczne! *(ubiera się w czołko, przyklada do siebie spódniczkę i staje przed matką)* no cóż czym nie krakowianka? *(całuje matkę)* Dziękuję kochanej mamie. *(zwraca się do Józii)* Coś ty miała z tem roboty i to wszystko uszyłaś przez wczoraj? Tak się dla mnie napracowałaś.

JÓZIA.

A cóż panienco, trzeba przecież żyć, dawniej kiedy ojciec żył, to się trochę uczyłam, ale dziś...

BASIA.

Cóż dzisiaj?

JÓZIA.

A nic, trzeba od świtu do późnej nocy pracować, bo matka chora, a Jaś jeszcze mały.

BASIA *(wzdycha, zdejmując czołko i razem ze spódniczką odkłada na bok, następnie wyjmuje z szufladki kawałek chleba z masłem i daje go szwaczce)* Zjedz to kochana Józiu, boś może głodna.

JÓZIA *(bierze chleb).*

Dziękuję kochanej panience, ale już zjem przez drogę, bo muszę się śpieszyć.

BASIA.

Do domu?

JÓZIA.

Tak panienco, muszę jeszcze poprawić, takie same drugie ubranie i odnieść na Marszałkowską, bo i tam dziś wieczorem tańce *(kłania się i wychodzi).*

BASIA.

Jaka ta Józia biedna, o parę lat starsza odemnie, a już tak ciężko pracuje.

MATKA.

Żal ci jęj nieprawdaż?

BASIA.

Och tak mammo!

MATKA.

Pamiętaj więc ucz się dobrze, a gdy podrośniesz, to będziesz mogła dopomagać biedniejszym od siebie Kto ma naukę, ten wiele może.

zasłona spada.

AKT II.

SCENA I-a.

(Basia obrębia chusteczkę, wchodzi Marysia).

MARYSIA.

Żeby to panienco wiedziała co się stało?

BASIA.

Cóż takiego?

MARYSIA.

Nieszczęście.

BASIA *(przerazona).*

Jakie nieszczęście?

MARYSIA.

Wedle tego przebrania.

BASIA.

Moje przebranie? o Boże! Mówże prędzej Marysiu...

MARYSIA.

A ta panienco w gorącej wodzie kąpana. Dyc ta panna Józefa, co tutaj szyje, przyniosła od jakichciś państwa przebranie, rychtyk jak panienci, żeby poprawić robotę, a tymczasem mały jęj brat przewrócił talerz z zupą i wszystko splamił.

BASIA.

Któż ci to mówił?

MARYSIA.

Przyszła moja siostra co z niemi mieszka i opowiadała.

BASIA.

Nieszczęśliwa ta Józia.

MARYSIA.

Biedactwo tak lamentuje, że strach, a tu dziś miała suknię oddać. Cała kosztuje 10 rs. za robotę miała dostać 2 rs.

BASIA.

I cóż ona zrobi?

MARYSIA.

Albo ja wiem, ta pani dla której szyła bardzo zła. *(wychodzi).*

(d. n.)

DZIEŃ SWOBODY,

POWIASTKA PRZYPISANA MĘJ WNUCZCE,

Geni Chodźkównie.

(Dalszy ciąg).

— Tak, tak, pierniki — potwierdził Adaś — doskonale, słodkie do słodkiego. Wiesz Bronisiu, mnieby to na myśl nie przyszło.

— A widzisz, ja zaraz sobie przypomniałam, że do czekolady używają ciasteczek z anyżkiem, a te zastąpić można piernikami.

— Więc czekolada z piernikami z anyżkiem — powtórzyła gospodyni.

— Tak, po dwa duże dla każdego. — Gospodyni odeszła zając się czekoladą.

— Którą sukienkę panienska włoży — zapytała Julisia, podając wczorajszą.

— Ach! nie tę, bo za brudna, wiesz... idź spytaj się mamy, czy mogę włożyć tę... ale co też ja mówię, nie chodź... wszak wolno mi dzisiaj robić co się podoba, dasz mi zieloną popelinową, tę nową z falbankami.

— Tę, co panienska, dopiero raz jeden miała?

— Właśnie tę, po cóż mam czekać święta, lub jakiej wizyty, żeby włożyć suknię, która mi się podoba, wezmę ją dziś, bo mi to przyjemność sprawi, do tego brązowe buciki z kozłowej skórki, i ponsową szarfę. Ślicznie tak będzie, prawda Fredziu?

— Naturalnie, że to będzie lepiej wyglądać, niż codzienna sukienka.

— Proszę cię — mówiła dalej Bronisia do Julisi — przygotuj mi także nowy parasolik.

— Jak panienska każe — odrzekła Julisia.

— To i ja pójdę się przebrać — zawołał Adaś — włożę nową aksamitną marynarkę.

Po chwili weszli oboje do stołowego pokoju, gdzie zastali ojca, matkę i pannę Aurelię, już oddawna po śniadaniu. Dzieci ucałowały wesoło ręce rodziców i pozdrowiły pannę Aurelię, nikt nie okazał zadziwienia, widząc ich tak świątecznie przybranych. Wniesiono śniadanie, z wielkim apetytem zapijali czekoladę z piernikami, tylko że jakoś napój ten za bardzo ich nasycił.

— Ba, to przejdzie — powiedział Alfredek — teraz pobiegniemy do ogrodu, nałapać motylków.

— Czy uczyć się dziś nie będziecie? — zapytała z uśmiechem panna Aurelia.

— O! nie pani! — zawołałi oboje jednogłośnie — nie mamy do tego najmniejszej ochoty.

— Jak się wam podoba.

— Panienska będzie łaskawa pójść do spiżarni, i obiad zadysponować — rzekła wchodząc gospodyni.

— Chodź Fredziu ze mną, zobaczysz co za obiad jeść będziesz.

Matka Bronisi podała klucz i oboje z Alfredkiem wbiegli do spiżarni. Tam Bronisia zastanowiła się przez chwilę.

— Da nam Józefowa — mówiła z powagą — zupełną migdałową z ryżem i rodzynkami dobrze osłodzoną, potem leguminę parzoną z konfiturami, potem krem waniliowy. Na wety, miód w plastrach i figi.

— Ach cóż to za obiad doskonały! — wołała klaszcząc w dłonie Alfredek — jak żyję nie jadłem podobnego, doprawdy Bronisiu masz genialne pomysły.

— Przedewszystkiem bardzo słodkie — powiedziała gospodyni, uśmiechając się złośliwie.

— No, a teraz dalej na powietrze — zawołał Alfredek — starajmy się użyć dnia naszej swobody jak najprzyjemniej. Co wolisz? czy łapać motyle, co nam wolno i przy pannie Aurelii, czy też pójść do stajni odwiedzić gniadosza?

— Do stajni, do stajni! — wołała Bronisia — wiesz dobrze, że mnie jako paniencie, wstęp tam zupełnie wzbroniony, muszę więc raz zobaczyć dla czego.

I trzymając się za ręce przebiegli dziedziniec. Alfredek wbiegł wesoło do stajni, Bronisia stanęła bojaźliwie przy progu. W stajni stało sześć koni, jeden z nich silnie zarżał, Bronisia cofnęła się przestraszona.

— A tu po co? a tu po co? — wołał stary Stanisław który szczotką czyścił jednego z koni — czy to panna Aurelia od lekcyi odbiegać pozwala?

— Co Stanisławowi do tego, nam wolno robić dziś co się nam podoba — dumnie odrzekł Alfredek — Proszę mi osiodłać i wyprowadzić gniadosza, spróbuję czy będę mógł jeździć na nim.

— W Imię Ojca... i Syna!... co się paniczowi zachciało?

— Może się Stanisław zapytać pana, który tu w tej chwili nadchodzi.

Pan Kaliński dał znak Stanisławowi, aby się Alfredkowi nie sprzeciwiał, a Stanisław pomrukując wyprowadził prześlizgniętego gniadego konia, z trudnością za uzdeczkę go powstrzymując. Rwał się i kopał ziemię niespokojnie.

Pan Kaliński stał na boku, przypatrując się z daleka.

— No, niech panicz siada — rzekł uśmiechając się Stanisław — a panienska niech się usunie.

Alfredek przybliżył się, ale gdy koń podskoczył, odbiegł przerażony, i Bronisia też uciekać zaczęła.

— Starszy pan rady mu dać nie może, a paniczowi się go zachciewa — mruknął znowu Stanisław — lepiej zaczekać jak panicz dorośnie, niż chcieć koniecznie na piasku wyrwać kozła.

— Mój Stanisławie — rzekł krzywiąc się niecierpliwie Alfredek — proszę już raz tych uwag zaprzestać, i pomoż mi wsiąść na konia.

Maryja Brühlowa.

(d. c. n.)

ZADANIE GŁOSKOWE.
(Ułożyła Wiosna).

Adryanopol — Derbent — Akerman — Madryt — Maryampol — Iłża — Chersoń — Kiel — Iwangród — Ems — Warszawa — Iwanów — Chęciny — Zakroczym.

Wziąwszy jedną głoskę z każdego wyrazu
Bez żadnego trudu złożymy odrazu
Imię i nazwisko poety polskiego,
Swymi utworami zachwycającego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 26-go.

Szarady:

Ce — bu — la.

Skrzynka do listów.

P. Edw. Pałusk. w Wał. Przesłane rs. 2 prenumerata zaś półroczna wynosi rs. 2 kop. 50.

P. Przanowskięj w Krasnem. Do przysłanej do końca roku prenumeraty w ilości rs. 3 brak jeszcze kop. 75.

P. Jod. w Bobolni. Prenumerata opłacona tylko do 1-go. Lipca, Pismo wszakże wysyłać będziemy zanim przesłaną zostanie na czas dłuższy.

Czternastkę policzymy chętnie do grona naszych miłych korespondentek, tymczasem drukujemy liścik jęj do Trzynastki.

Mamutowi, Pegazowi, Kameleonowi i innym kolegom, którzy się do niego zgłosili Julek za liściki i pamięć dziękuje. Obiecuję dać jeszcze dalsze opisy wystawy, o ile mu czasu starczy.

Amazonce podlaskięj dziękujemy za przysłany nam ciąg dalszy „Listów”. Pojmujemy bardzo chwalebna jęj chęć wynagrodzenia ubiegłego czasu, jakkolwiek wnosimy, że nie przeszedł on marnie w podróży odbytej z taką korzyścią.

Liścik twój droga **Cyganeczko z nad Wisty**, więcej jeszcze jeżeli można przywiązuje nas do ciebie. Zachowaj na zawsze uczucia, które w nim wyrażasz, a skoro bywasz w Warszawie, przyjdź do naszej redakcyi, abyśmy cię mogli uściskać. p. U. miłą jest twoja pamięć i nawzajem pozdrawia cię serdecznie.

Życzeniu **Heliotropa** stanie się zadość we właściwym czasie, nim to nastąpi za liścik dziękujemy i życzymy wesołej zabawy w czasie wakacyi.

Czyż może być aby **Gołąbka** nasza zapomniała o której ze swych korespondentek? Chyba list nie doszedł, bo zaręczyć możemy kochaną **Królową Wrożek**, że zyskanie serduszka, które dla niej tak dobrze usposobione, obojętnem nie jest Gołąbce. Wysyłałyśmy tymczasem żądane dodatki, ale czemuż droga **Królowo** nie upomniała się o nie wcześniej? A także czemu nie powiadasz jakim pseudonymem podpisywałaś się dawniej?

Wesołej Krakowiance powtórzyć możemy tylko dosłownie to, co powiedzieliśmy powyżej **Królowej Wrożek**, uskarżającj się na brak odpowiedzi od **Gołąbki**. Co do zadania konkursowego, to ten chłopczyk, który sobie tak niewłaściwie zażartował, podpisując na swym utworze **wesołą Krakowiankę**, nie bardzo się ucieszy ocenieniem swęj pracy przez **Gołąbkę**, już wydrukowanem w poprzednim numerze. Za pocałunek **Gołąbka** dziękuje i nawzajem uściśnienia przesyła, ale **Krakowianeczko** nie śledź jęj daremnie w Saskim ogrodzie, bo inaczej jak listownie nikt się z nią nie zapozna.

Cieszymy się bardzo że kochana **Stefcia I.** tak lubi **Wieczory**, zadowolenie naszych czytelników, jest najmiłszą za pracę naszą nagrodą.

Dziękujemy ci droga **Mazurko z nad Narwi** za położone w nas zaufanie, bądź pewną że go nie zawiedzimy. Odpowiedź wcale nie poszła do kosza. Donosimy ci tymczasem, że **Samuelowa Chrzanowska** zwała się **Anna Dorota z domu de Frezen**.

Uradowałaś nas twoim liścikiem droga **Makolągwo**, dziękujemy ci serdecznie za pamięć o naszej prośbie i doniesienie o zdrowiu brata, z którego polepszenia cieszymy się bardzo. Jakże pragnęlibyśmy znaleźć się w waszym ogródku i widzieć cię wraz z bratem i siostrami! Zanim się to pragnienie ziści całujemy cię po tysiąc razy.

Żeby ci to powiedzieć, co wiedzieć pragniesz droga **Brzózko podolska**, trzeba by do ciebie oddzielnie napisać, a przeto miej twój adres prawdziwy. Zanim go przysłesz ściskamy cię serdecznie wdzięczni będąc za twoje dobre dla nas uczucia.

Liścik twój kochana **Biała Myszko** musiał zarzucić się z przyczyny którą odgadujesz, jeżeli nie był drukowany. Listów z Paryża spodziewamy się jeszcze, bo i **Jaskółka z nad Sekwany** obiecała nam dalsze opisy wystawy. **Wieczory** wyślemy jak pragniesz.

Życzeniu **Tarysa** stanie się zadość jak to tylko będzie możebnem.

Cieszymy się z obietnicy **Odyna** opisu **Gdańska**, bo temat to zajmujący i witamy serdecznie nowego korespondenta, dziękując za tak ładnie zasuszone trawki.

Milutki twój liścik **Trawko z nad Czarnęj Hańcy** zwiastuje nam nową kochaną korespondentkę, więc pozdrawiamy ją serdecznie i prosimy aby o nas nie zapomniała, umieszczając tymczasem odezwę jęj do **Białej Myszki**.

Nazywaj nas jak ci się podoba droga **Góraleczko**, a kochaj nas tylko zawsze choć trochę, bo to najmiłsza nagroda za naszą pracę. **Łamigłówna** czeka kolei tymczasem ściskamy cię serdecznie i za twoje dobre dla nas uczucia i za tak ładne i wyraźne pismo.

Przyjaźń starszek takich jak **Biała akacya** bardzo nam jest miłą, bo cieszymy się gdy i starsze panienki chętnie czytają „**Wieczory**”. Nie możemy spełnić polecenia wyszukania autorki wymienionej powieści nie znając wcale, ani jęj osoby, ani miejsca pobytu, sądzimy wszakże, że pochlebić jęj może tylko chęć przekładu jęj utworu na obcy język i sprzeciwić się temu nie zechce.

Droga Baniuto! Twój pseudonym bardzo mi się podobał jeśli chcesz to będziemy korespondowały z sobą, chociaż jesteś o dwa lata starszą odemnie. Unię moje jest **Albinka**, mieszkam w małym miasteczku **Kowlu**, a ty gdzie? Ściskam cię serdecznie, prosząc, abyś mi prędko odpisała. **Złotowłose, Sarenkę z nad Morocz**, **Chmurkę złocistą**, **Topolkę srebrną**, serdecznie całuję także i proszę o napisanie liściku. *Złote Serduszko.*

Kochana **Gołąbko z nad Oki!** Dziękuję ci za twój miły liścik, który mię uradował. Na imię mi **Wandzia**, mam trzech starszych braciszków. Uczę się w domu, mieszkam na wsi, nad jeziorem blisko lasu, w którym jest mnóstwo wiewióreczek podobnych do mnie, to jest takiego koloru jak moje włosy. W ślicznym ogrodzie otaczającym dom, mam pełno kwiatów troskliwie pielęgnowanych przez mego ojca. Ściskam cię serdecznie, twoja *Wiewióreczka Inylantska.*

Kochana **Mołodyco Ukrainka!** Jestem twoją daleką kuzynką, ale się nie znamy. Zgadnij kto jestem: na imię mi **Anielcia**, mam lat 13, mieszkam w **Krakowie**; znasz moję najstarszą siostrę **Zosię z Warszawy**. Tobie na imię **Zosia**, jesteś u **Sercanek w Pradze** z młodszą siostrą **Julcią**. **Andzia K.** kazała cię uściskać. Odpisz niezadługo *Makolągwie.*

Kochana **Kampanello!** Rada byłam z twego liściku, ale mylisz się, jestem nie **Zosią** ale **Marysią**, nie mam siostrzyczki **Loli**, ale dorosłą już zamężną siostrę i nie dwóch braciszków, tylko jednego studenta politechniki w **Rydze**. Całuję cię serdecznie, twoja *Bławatka z nad Horynia.*